



GAZETA STUDENCKA



OD NACZELNEJ

Cześć wszystkim!



Listopad jest dla mnie wyjątkowy. W tym miesiącu kończę kolejny rok swojego życia, a do listy rzeczy, które udało mi się osiągnąć, mogę dopisać stanowisko redaktor naczelnej Gazety Studenckiej. Kiedy cztery lata temu dołączyłam do redakcji, nie sądziłam, że ten kawałek miejsca na drugiej stronie kiedyś będzie mój. Że będę mogła się z Wami przywitać, przedstawić numer i życzyć dobrej lektury. Że przeczytacie kilka moich zdań, a ja z dumą zaprezentuję Wam nasz magazyn. Ale jak wiadomo, wszystko się kiedyś kończy i po kilku miesiącach szefowania Gazetą, oddaję redakcję Natalii.

Ten czas, który spędziłam zajmując stanowisko naczelnej, pozwolił mi zobaczyć pracę w gazecie z zupełnie z innej strony. Na moich barkach spoczywała odpowiedzialność za każdy numer i za to, abyście z ciekawością

zagląдали na nasze strony. Nie chcę pisać żalnych wielkich mów, płaczących rozpraw, tylko po prostu podziękować. Wam - Czytelnikom za to, że zawsze chętnie czytaliście nasze artykuły i byliście z nami. Wszystkim osobom, z którymi miałam przyjemność pracować - za to, że tworzyliśmy coś naprawdę fajnego. Mam nadzieję, że będziecie dobrze wspominać te kilka miesięcy ze mną na czele GS ;)

Z Gazety nie odchodzę, ciągle będę pisać i bawić się składem. Natalia, Tobie życzy siły, wytrwałości i tego, żebyś każdy numer wydawała z sercem i ogromną satysfakcją.

Także ostatni raz, życząc Wam miłej lektury!

Asia Gerlich

redaktor naczelna GS

GS LUBI TO

MAREK WIENCH

Precedencja. Skoro znowu mam pierwszeństwo, to przynajmniej nie powtórzę za kimś. Idę sobie spokojnie ulicami Wrocławia i...jest nudno. Jedynym wydarzeniem jest telefon, żeby napisać artykuł o przypadkowej śmierci w szkole. Drugi sezon „Belfra” zaczyna się inaczej...i bardzo dobrze! Wiem, co mówię, bo sam byłem miesiąc tytułowym belfrem. I musicie mi wierzyć na słowo, że nie ma nic gorszego niż powtarzanie tego samego w tym samym miejscu przez kilkadziesiąt sezonów.

ANIA KĘDRA

Wszystkim, którzy od czasu do czasu, dla oczyszczenia, potrzebują sobie popłakać, polecam z całego serca książkę Jill Santopolo, pt. „Światło, które utraciliśmy”. To niesamowity wyciskacz łez. Historia Lucy i Gabriela zaczyna się w Nowym Jorku, 11 września 2001 roku - dzień, który dla niektórych stał się końcem, dla nich był symbolem początku, okraszonego straszną tragedią. Ta książka pozostanie w głowach na długo, bo niesie ze sobą bardzo ważny przekaz: Nie warto rezygnować z miłości, kiedy się ją odnajdzie, bo trudno będzie ją później odzyskać, a czasem jest to niemożliwe.

BEATA TARNOWSKA

Znowu w trasie. Za oknem złoto, brunatnie...jesień. W rękach świeżutki egzemplarz „Początku” Dana Browna. Książka wciąga od pierwszej strony, tylko odliczam czas do ekranizacji. Czy może być lepiej? Jak zawsze. Z głośników słychać „The humming”, Enya nigdy nie zawodzi. Choć płyta „Dark sky Island” ma już dwa lata, jestem nią niezmiennie zachwycona. Pasuje jak ulał, obie z Enya jesteśmy w podróży.

WERONIKA ROLNIK

Tango wszędzie. Mroźek przepięknie wybrzmiał w Galerii Zamostek. A w moich głośnikach ukochany Piazzolla, a także genialne „Roxanne” (to jedyne, śpiewane przez Jacka Komana). Filmowo zaś kolejny obraz z serii „nie lubię Gyllenhalla, ale tu zagrał dobrze”, czyli „Zwierzęta nocy”. Piękny i okrutny. Filmy Forda są jedyne w swoim rodzaju. Projektant mody patrzy inaczej. Dobrze czasem z jego perspektywy popatrzeć na sztukę. P.S. Gyllenhal zagrał też dobrze w „Destrukcyj”, którą również polecam, choć nie oglądałam jej w październiku.

ŁUKASZ WALKOWIAK

Ja właśnie spędzam ostatnie dni na Słowacji. Pogoda kiepska, ale będąc w Bratysławie wstąpiłem do Instytutu Polskiego. Stary ksiądz okazał się być Słowakiem, ale przez wiele lat był też wykładowcą teologii, filozofii i psychologii w Polsce. Jego wiedza była niesamowita. Jestem pod wrażeniem!



Akademickie Mikołajki w rytmach zumby

W tym roku Mikołajki na Uniwersytecie Opolskim będą taneczne i „wielkim sercem” wprowadzą nas w okres Bożego Narodzenia. Wszystko za sprawą akcji „Akademickie Mikołajki w rytmach zumby”, których organizatorami są media studenckie, AZS UO i Samorząd Studencki.

W programie, jak co roku, akademicki Mikołaj przez dwa dni (12 i 13 grudnia) będzie odwiedzał akademiki na naszym kampusie, rozdawał prezenty i dzielił się świąteczną radością. Trzeciego dnia, czyli 14 grudnia, o godzinie 18.00 w Studenckim Centrum Kultury wszyscy o wielkich sercach zatańczą zumbe. Dochód z akcji zostanie przeznaczony na rzecz potrzebującej placówki w Opolu.

Śledźcie media studenckie, które będą informowały o szczegółach naszej wspólnej akcji.

LISTOPAD 2017 - SPIS TREŚCI

02 OD NACZELNEJ

GS LUBI TO

03

POKAŻ SIĘ

04/05

CAMP LEADERS - WYWIAD

06/07

OPOLSKA AKADEMIA KETTLEBELL

08/09

ADRIAN BIAŁEK - WYWIAD

10

CMENTARZ NA KAMPUSIE

11/

WYWIAD Z NOWYM PREZESEM AZS

12/

ANA CAFE/DKMS

13/

PUBLICYSTYKA

14/

MĘSKIM OKIEM O FILMIE

15/

REGENZJA

16

FELIETON

REDAKCJA



NUMER 02

LISTOPAD 2017

ROK AKADEMICKI 2017/18

REDAKTOR NACZELNA: Asia Gerlich

WICEREDAKTOR NACZELNA: Natalia Worek

SKŁAD/LAMANIE TEKSTU: Asia Gerlich

AUTOR GRAFIKI NA OKŁADCE: Monika Chmielarz

REDAKTORZY NUMERU: Wiktoria Surówka, Monika Sobczak, Karolina Biedka, Dawid Machecki, Marek Wiench, Jakub Filipkowski, Jakub Słaby, Michał Perlik, Łukasz Walkowiak, Ola Saternus

KOREKTA: Weronika Rolnik, Kinga Opolony, Justyna Łęcka, Ewelina Maćkiewicz, Ania Kędra

KONTAKT

www.gs.uni.opole.pl

gazetastudenckaUO@gmail.com

Instagram /gazetastudencka

Facebook /gazetastudenckaUO

WYDAWCA



Uniwersytet Opolski

pl. Kopernika 11a

45 - 040 Opole

POKAŻ SIĘ W STUDENCKIEJ

ALINA FEDOTOVA
ABSOLWENTKA INSTYTUTU SZTUKI UO



Alina Fedotova jest absolwentką Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego. Zajmuje się grafiką i malarstwem, jednak najbardziej pasjonuje ją muzyka audiowizualna w formacie kina na żywo. Wykorzystuje różne typy muzyki do tworzenia nowych dzieł sztuki. W 2016 roku brała udział w głównym projekcie Zero Arctic Biennale w

Jakucji. Po raz pierwszy, podczas tworzenia audiowizualnego spektaklu "Powrót", postanowiła spróbować swoich sił. Wspaniale wspomina to wydarzenie: "Miałam za zadanie wykorzystać film z ISS (Międzynarodowej Stacji Kosmicznej). Wtedy zakochałam się w kinie na żywo. Do tej pory pracowałam tylko z generatywnym obrazem w programie Resolume".



MONIKA CHMIELARZ

ZARZĄDZANIE INFORMACJĄ W NOWYCH MEDIACH

„Bazgrzę głównie w zeszytach i głównie portrety, od czasu do czasu zaprojektuję komuś logo albo zmontuję krótki film. W sztuce jestem tak samo niecierpliwa, jak w życiu ;) Czas wolny rozdzielam między stadko szczurów domowych, ogrom seriali, które oglądam naraz, rodzinę i Radio Sygnały”.





fot. Dominika Prabucka

CAMP LEADERS

AMERICAN DREAM NA WYCIĄGNIĘCIE RĘKI

Camp Leaders to ogólnopolski projekt organizujący studenckie wyjazdy do Stanów Zjednoczonych. Każdy, kto chce przeżyć niezapomniane wakacje, może wyjechać na trzy miesiące do USA, gdzie przez kilka tygodni pracuje pomagając na campie - wakacyjnym obozie dla dzieci i młodzieży, a resztę czasu poświęca na podróżowanie po wymarzonych zakątkach Ameryki.

Angelika Hajdasz, studentka trzeciego roku architektury na Politechnice Opolskiej, która jest również ambasadorką Camp Leaders w Opolu, opowiedziała nam o organizacji oraz o własnych przeżyciach związanych z projektem.

Jak zaczęła się Twoja przygoda z Camp Leaders?

O projekcie dowiedziałam się od koleżanki ze studiów, która wyjechała na camp w zeszłym roku. Ja wtedy nie zdążyłam już załatwić niezbędnych formalności. Dowiedziałam się za późno, ale wtedy wiedziałam już, że niezależnie do tego co będzie się działo pojedę za rok. Tak to się zaczęło. 11 czerwca 2017 Wylądowałam w San Francisco, przez dwa miesiące pracowałam na campie w Północnej Kalifornii, a później przez trzy tygodnie zwiedzałam Stany Zjednoczone.

Czym w ogóle jest Camp Leaders?

Camp Leaders to organizacja, która współpracuje z wieloma campami i resortami w Stanach Zjednoczonych, dzięki czemu może wysyłać tam studentów. Pracujemy do dziesięciu tygodni, a po skończonym kontrakcie mamy jeszcze określony czas na zwiedzanie.

No dobrze, Twój kontrakt się kończy, opuszczasz camp i dalej kto się

Tobą opiekuje?

Przez ten cały czas Camp Leaders zapewnia ochronę, uczestnik nie zrywa kontaktu z biurem po wyjeździe do Ameryki, nie zostaje rzucony na głęboką wodę. Jako ambasador też cały czas dbam o ten kontakt, gdyby cokolwiek się działo, biuro cały czas czuwa. Mieliśmy sytuacje, kiedy po skończonym kontrakcie ktoś zapomniał, że nie wolno mu opuścić Stanów Zjednoczonych i popłynął na wyspę, gdzie granica państwa kończy się na morzu. Teoretycznie nie mógł już wrócić bo jego wiza się skończyła, ale zadzwonił do nas, do biura i my mu ten powrót zorganizowaliśmy.

Kto na taki camp może wyjechać, czy są jakieś predyspozycje, wymagane cechy?

Przede wszystkim trzeba być studentem, bądź mieć ukończone 18 lat, w zależności od tego, na jaką pozycję chcemy aplikować. Na campie rozróżniamy obsługę techniczną - to muszą być studenci - i opiekunów kolonijnych - brak wymogu statusu studenta. Najważniejszym wymaganiem jest znajomość języka angielskiego w stopniu komunikatywnym, matura podstawowa z angielskiego w zupełności wystarczy żeby się porozumieć. Trzeba być przede wszystkim otwartym oraz chętnym poznania świata. Niezwykle ważna jest także chęć do pracy. Jedziemy tam

przede wszystkim pracować, pomagać ogarnąć całość campu. Wszystko zależy od tego, jaki rodzaj pracy wybierzemy, możemy pracować na kuchni, bardziej jako pomoc kuchenna i np. kroić warzywa. Ja byłam na housekeepingu, zajmowałam się porządkami na całym campie. Myślę, że nie mogłam trafić lepiej i drugi raz pojechałabym również na sprzątanie, bo mimo wszystko jest to łatwiejsza praca. Jeżeli aplikuje się na opiekuna kolonii, to należy jednak liczyć się z większą odpowiedzialnością: jest to też praca praktycznie 24 godziny na dobę, również znajomość języka angielskiego musi być wtedy lepsza.

Jeżeli chodzi o mnie, nie bałam się wyjazdu, bo przez 7 lat należałam do harcerstwa i jeździłam na tego typu obozy w Polsce. Harcerstwo dało mi doświadczenie w podróży, nie bałam się tego, że będę musiała nocować poza domem.

Jak wygląda kwestia zakwaterowania na campie?

Mając na uwadze moje doświadczenia z harcerstwa, spodziewałam się, że to będą namioty, że warunki będą bardziej surowe; tymczasem okazało się, że spaliśmy w normalnym akademiku. Na innych campach są też drewniane domki, warunki są bardzo przyjemne. Zakwaterowani jesteśmy zawsze z osobami ze swojego kraju, które też pracują na campie. My akurat byliśmy w sześć osób, a po skończonym kontrakcie podróżowaliśmy w piątkę. Moja koleżanka, która namówiła mnie na ten projekt zwiedzała z kolegą z zagranicy. Wszystko zależy do nas, od tego z kim się zaprzyjaźnimy na campie. Można również zapisywać się na zorganizowane wycieczki, ale wiadomo, że lepsza zabawa jest gdy wszystko robi się indywidualnie.

Nie znałaś wcześniej osób z którymi zaprzyjaźniłaś się w czasie trwania obozu. Są to trwale znajomości? Nadal utrzymujecie ze sobą kontakt?

Tak, jestem w związku z chłopakiem poznanym w Kalifornii. Co ciekawe on jest z Bydgoszczy. Musieliśmy przejechać kilka tysięcy kilometrów, aby się poznać. To nie jest też tak, że jedziemy tam i zupełnie nikogo nie znamy. Camp Leaders pomaga nam poznawać osoby, które jadą do tego samego ośrodka. Wysyłają nam profile osób, sugerując by wcześniej nawiązać kontakt. Wszyscy, którzy byliśmy przydzieleni do ośrodka w Kalifornii znaleźliśmy się już wcześniej przez Internet.

Nie bałaś się sama wyjechać na kilka miesięcy za ocean? To wiąże się przecież z odpowiedzialnością, dodatkowo sporo trzeba załatwić, umowa z pracodawcą, wiza... nie przytłoczyło Cię to wszystko?

Camp Leaders załatwia za nas praktycznie wszystko, więc tutaj nie ma czego się bać. My aplikujemy, wypełniamy ankietę, która działa jak nasze CV, wpisujemy tam swoje doświadczenie, co studiujemy, uzasadniamy dlaczego w ogóle chcielibyśmy wyjechać. Następnym krokiem jest rozmowa kwalifikacyjna. W Opolu ta rozmowa odbywa się ze mną. Warto podkreślić, że rejestracja w programie i rozmowa – spotkanie z ambasadorem są całkowicie darmowe. Dopiero gdy zdecydujemy się na podpisane umowy, zaczynają się wpłaty, które są podzielone na raty. Po takiej rozmowie, ja dodaję moje odczucia odnośnie aplikującej osoby, pomagam jej w doborze pracy, doradzam. Później nasza aplikacja zaczyna być widoczna dla pracodawcy. Na naszym profilu internetowym widzimy też kto aktualnie przegląda nasze CV, kto rozważa, czy nas zatrudnić. Zawsze wtedy warto napisać do danego pracodawcy, sprawdzić dany camp. W tym również organizacja Camp Leaders zawsze pomaga. Jeżeli nie uda nam się znaleźć pracy w sposób wirtualny, Camp Leaders organizuje targi pracy, w czasie których dyrektorzy campów przyjeżdżają do Warszawy czy Krakowa i odbywają się rozmowy kwalifikacyjne. Warto zaznaczyć, że Amerykanie mają bardzo luźny stosunek do rozmów kwalifikacyjnych (nie jest wymagany oficjalny elegancki ubiór itp.). Tutaj też Camp Leaders pomaga, ambasador albo biuro przeprowadza przez tę rozmowę, przygotowuje do niej.

Jak to się stało, że zostałaś ambasadorką Camp Leaders?

Stwierdziłam, że nadal za mało ludzi wie o tym programie. Marzyłam całe życie, żeby wyjechać do Stanów, nagle okazało się, że to jest tak naprawdę na wyciągnięcie ręki. Koszt programu to około 2 tys. złotych. Taka kwota, jeżeli chcielibyśmy pojechać prywatnie nawet nie wystarczy na bilet. Tutaj mamy zagwarantowaną pełną opiekę Camp Leaders i trzy miesiące w Stanach Zjednoczonych. Chciałam pomóc ludziom uwierzyć, że to nie jest jakieś bardzo odległe marzenie. Można to zrobić, tylko trzeba się za siebie wziąć i szybko zdecydować o swoich przyszłych wakacjach.

To zwykle jest wyjazd letni - wakacyjny?

Tak, campy zatrudniają od maja do września. Pytanie, które wszyscy zadają: co wtedy z sesją? Z tym nie ma problemu. Sesję można przyspieszyć albo opóźnić,

w zależności od tego, kto co woli i na co zgodzi się dziekan. Camp Leaders daje odpowiednie zaświadczenia. Ja przyspieszałam swoją sesję o miesiąc, zdałam wszystkie egzaminy i to naprawdę nie powinno przerażać, bo jak się chce to można.

Na campie byłaś w Kalifornii. Jakie miejsca zwiedziłaś po zakończeniu kontraktu?

Na campie pracuje się przez sześć dni, a jeden jest wolny. Ten jeden dzień można sobie zorganizować na bliskie podróże. Ja miałam to szczęście, że mój pracodawca opłacał mi przejazd w dowolne miejsce, w które chciałam się udać. Ze względu na niewielką odległość San Francisco zwiedziłam już w trakcie trwania kontraktu. Byłam też w Santa Cruz, Monterey, Capitola oraz w Red Wood Forest. Mieszkaliśmy w bardzo pięknej okolicy, z akademika do oceanu mieliśmy 10 minut piechotą. Jeżeli chodzi o samą podróż, zaczęliśmy ją od Oakland, tam wynajęliśmy sobie samochód, pojechaliśmy do Parku Narodowego Yosemite. Niesamowite miejsce. Później Los Angeles, gdzie spędziliśmy cztery dni, następnie wyruszyliśmy do Wielkiego Kanionu, Sedona, Arizona, Park Narodowy Zion. W końcu też pojechaliśmy do Las Vegas. Przepiękne filmowe miasto, które żyje głównie nocą, bo w dzień jest tak gorąco, że nie da się nawet wyjść. Te wszystkie światła, tancerki na ulicach muzyka... zwiedzanie Las Vegas to było niezapomnianym przeżyciem. Potem pojechaliśmy jeszcze do Waszyngtonu, a stamtąd do Nowego Jorku, gdzie spędziliśmy tydzień. Intensywne trzy tygodnie zwiedzania to jednak jest spory koszt finansowy, ja sobie opłacałam wszystko z pieniędzy zarobionych na campie. Faktycznie do Polski nie przywiozłam nic, ale myślę, że to jest bardziej przygoda niż wyjazd zarobkowy.

Jak wygląda wypłacanie pieniędzy na campie? Dostaje się kieszonkowe?

Jest to zależne od dykcji danego ośrodka, ale z reguły całą kwotę otrzymuje się po zakończeniu kontraktu. Warto wziąć ze sobą trochę pieniędzy, choćby na takie jednodniowe wyjazdy, o których już wspominałam.

A jak wygląda typowy dzień w ośrodku?

Dzień zaczynaliśmy śniadaniem o godzinie 8, po śniadaniu pracowaliśmy – sprzątaaliśmy do lunchu, który był zawsze o 13. Na szczęście do naszych obowiązków nie należało sprzątanie pokoi dzieci. Po lunchu znowu sprzątaaliśmy do kolacji. Później mieliśmy już czas tylko dla siebie. Mogliśmy korzystać z siłowni, basenu, sali gimnastycznej i całej infrastruktury campu. O godzinie 1 musieliśmy już być w swoich pokojach w akademiku.

Masz takie szczególne, jedno doświadczenie, które Ci najbardziej utkwiło w pamięci?

Wszyscy uczestnicy obozu tworzą zgraną społeczność, są jedną wielką rodziną. Mój camp akurat był dość mały: obsługi było około 100 osób i około 150 dzieci. Takim najbardziej wzruszającym momentem był dzień, już pod koniec obozu, kiedy dyrektorzy kazali wszystkim napisać swoje imiona na kartce i przyczepić do ściany. Następnie każdy wpisywał na tej kartce, co mu się kojarzy z daną osobą, za co dziękuje. Kiedy podeszłam do swojej kartki, nie obyło się bez łez wzruszenia.

Z takich ciekawych wydarzeń mieliśmy również dzień amerykański, ale najbardziej zabawny był dzień polski i węgierski. Polacy i Węgrzy przygotowali wspólne wystąpienie, obalające stereotypy o naszych krajach. Do jedzenia natomiast przygotowaliśmy zwykłe pierogi ruskie i Amerykanie byli nimi zachwyceni.

W przyszłe wakacje też wyjedziesz do Stanów w ramach tego projektu?

Oczywiście, mam nadzieję, że uda się na ten sam camp, ponieważ spędziłam tam niesamowite 7 tygodni, żyłam się zarówno z ludźmi z obsługi jak i z dziećmi. Myślę, że jest to fantastyczny sposób na spędzenie wakacji i zawsze będę zachęcała wszystkich moich znajomych, żeby spróbowali, bo naprawdę warto. Wspomnienia zostają na całe życie. Świetne jest również to, że w tak krótkim czasie można zwiedzić kawał świata i to za tak małe pieniądze.

Wszystkich zainteresowanych wyjazdem do USA w ramach programu Camp Leaders zachęcamy do kontaktu z Angeliką poprzez jej profil na Facebooku, profil projektu: <https://www.facebook.com/campleaderspoland/> lub stronę internetową: <https://www.campleaders.com/pl/>

**ROZMAWIAŁY: KAROLINA BIEDKA
I MONIKA SOBCZAK**



fot. Asia Gerlich

“ZAKOCHAJ SIĘ W KETTLACH JAK MY!”

Mniejsze i większe. Kolorowe i czarne. Przypominają kulę armatnią z uchwytem i można nimi nieźle machać. Trening z “czajnikiem” daje nam wiele korzyści, ale największą z nich jest satysfakcja i radość po ukończonych ćwiczeniach. Więcej o treningu kettlebell opowiedział nam Artur Rejek, właściciel i trener Opolskiej Akademii Kettlebell i Sportów Siłowych, wielokrotny mistrz świata w wyciskaniu sztangi.

Proszę na początek powiedzieć, czym właściwie jest trening kettlebell?

Trening kettlebell jest to trening funkcjonalny, który ma za zadanie zbudować nam siłę, wytrzymałość, sprawność. Wspomaga on wszystkie nasze cechy motoryczne, więc jest to trening ogólnorozwojowy przez duże O. Tzn. siła idzie bardzo do góry, wytrzymałość idzie bardzo do góry, tak samo sprawność i mobilność, więc ciężko to porównać do czegoś innego. Ale można powiedzieć, że jest to trening ogólnorozwojowy, który służy poprawieniu sprawności naszego ciała.

Głównym przyrządem do treningu jest kettle.

Kettlebell to jest już zangielszczona nazwa, u nas mówi się na to czajnik i to jest kula z uchwytem.

I właśnie ta kula kształtem przypomina kulę armatnią z uchwytem.

Trafiałaś w sedno określając to kulą armatnią z uchwytem, bo - jak donoszą niektóre czasopisma branżowe - sport ten wywodzi się sprzed 300 – 400 lat, kiedy w carskiej Rosji rzeczywiście była to kula z przyspawanym uchwytem, żeby było ją łatwiej przetransportować i wojscy trenowali na tym.

Wyróżnia się dwa rodzaje treningu. Pierwszy to Hard Style, a drugi to Girevoy Style. Opowiedz pokrótce, czym one się różnią.

Jak widzisz, są dwa rodzaje kul. Kule kolorowe mają wszystkie jeden kształt, jeden rozmiar i różnią się tylko kolorami, które są przypisane do wartości w kilogramach, czyli np. dwunastka jest zawsze

niebieska, dwudziestczwórka zielona itd. I to są typowo girje sportowe. Należy odróżnić Giveroy od Hard Style dlatego, że Hard Style to doskonała metoda treningowa, ale tak naprawdę nie jest to dyscyplina sportowa. Natomiast Girevoy Sport jest już dyscypliną. Pytałaś, czym one się różnią. W Hard Style pracujemy nad pobudzeniem swojej maksymalnej siły, a przy Girevoy pracujemy nad wytrzymałością. Tzn. metoda Girevoy polega na tym, że bój sportowy trwa dziesięć minut i są to trzy boje, inaczej mówiąc snatch, czyli rwanie, podrzut, albo long cykl, czyli nadrzut i podrzut jednocześnie. Bój ten trwa dziesięć minut i wykonuje się go jednorącz, tylko raz można zmienić rękę i odłożyć odważnik. Wykonując to dwurącz, nie można odłożyć go wcale. Można odpoczywać jedynie z ciężarem na klatce piersiowej, więc tutaj mówimy o wytrzymałości. Sztuką w tym jest wyłączyć mięśnie, bo każdy kto zajmuje się sportem wie, że mięśnie po dwóch, trzech minutach pracy mają tak wysoki poziom kwasu mlekowego, że po prostu sztywnieją. Sztuka wytrzymałości polega właśnie nad tym, że musimy te mięśnie wyłączyć. Jak zobaczysz typowych girevników, to są to osoby dobrze zbudowane, ale niezbyt rozbudowane. Dlatego ktoś kiedyś powiedział, że jest taki sam odsetek ludzi, którzy zbijają masę na kettlebellach, jak tych którzy nabierają masę mięśniowej. Hard Style uczy nas natomiast pracy podczas konkretnych ruchów, czyli np. poprawiamy swoje wyciskanie, siady, martwe ciągi, dynamikę biodra, więc ten styl opiera się bardziej na sile. Liczba powtórzeń jest też znacznie mniejsza, natomiast ciężarem idzie się już dalej. O ile przy Girevoy idzie się na zawodach do 32 kilogramów, to przy Hard

Style ja mam tutaj, jak widzisz, do 80 kilogramów, aczkolwiek w Polsce mają już niektórzy nawet do 96.

Co jest najważniejsze, kiedy zaczyna się przygodę z kettlebellami?

Najważniejsze przy pracy z odważnikami jest zachowanie wzorców ruchowych. Dlatego, że kula, która jest wprowadzona w ruch, nie waży tyle, ile waży faktycznie, tylko czasami ma nawet do pięciu razy więcej, jeżeli zrobimy to z odpowiednią dynamiką. Przy złych wzorcach ruchowych automatycznie jesteśmy nastawieni na kontuzję. Stąd też mimo wszystko polecam przynajmniej te pierwsze treningi zrobić z dobrym trenerem, albo przejść przez kursy, warsztaty kettlebell, które nauczą nas jak się poprawnie ruszać.

Właśnie spotkałam się z różnymi opiniami na temat tego, jak zacząć ćwiczyć. Są trenerzy, którzy zachęcają do ćwiczeń w domu, twierdząc, że można nauczyć się wszystkiego z filmików w Internecie. Z drugiej strony, są głosy przeciwne temu, które jasno mówią, że trzeba trenować pod czułym okiem specjalisty. Jakie jest Twoje zdanie na ten temat?

Ja, jako trener z długoletnim doświadczeniem, mówię stanowcze "nie" pierwszej opcji. Nikt nie robi tego na początku dobrze. Jest zbyt wysokie ryzyko kontuzji. O ile po miesiącach ktoś „załapie”, na czym polegają te ruchy i ta praca, to nie wiadomo, co się przez te miesiące zdarzy. Zaczynać należy z trenerem, ale później można zakupić sobie taki odważnik i robić codzienny trening. Tutaj bardzo ważna jest technika, bo jeżeli kulę wprowadzimy w ruch, ale przyjmujemy przy tym zły wzorec ruchowy, to będziemy musieli ją stopować ciałem, które nie będzie do tego odpowiednio ułożone. Przez to możemy np. pogłębić swoje wady kręgosłupa albo nabawić się takiej wady. Można zrobić sobie krzywdę, bo pracując z kettlebell, wykonując np. swing, pracuje pięć stawów, więc jest co zepsuć.

Oprócz poprawy koordynacji ruchowej i tych wszystkich zalet, które wymieniłeś wcześniej, co daje trening kettlebell?

Po pierwsze daje ogromną satysfakcję. Po drugie, wszyscy którzy zaczęli się u mnie „bawić” z odważnikami, zauważyli w swoim życiu jakieś pozytywne zmiany. Niektórzy zaczęli lepiej pływać, inni szybciej biegają. Jest Mateusz, który biega Runmagedony. Jest Przemek, któremu po kettlebellach bardzo wzrosła siła. Ja sam jestem astmatykiem, który dzięki kulom poprawił swoje pływanie, co zawsze było moją piętą achillesową. Jeżeli mówimy o pracy z kettlebellami, to poprawiamy też sprawność swojego układu sercowego. A do tego wzmacniamy swój charakter, siłę swojego umysłu, bo trening nie należy do łatwych.

Czy trening kettlebell może być alternatywą dla siłowni?

Nie może, bo to jest coś innego.

Lepszego?

Nie nazwałbym tego lepszym, bo jeżeli ktoś chce trenować kulturystrykę, to ciężko powiedzieć, żeby kettle były czymś lepszym. Natomiast jeżeli ktoś szuka swojego miejsca w dziedzinie fitness, to jak najbardziej zapraszam, bo może się okazać, że to jest właśnie tym czego szukał. Oczywiście, siłownia to budowanie siły. Ja na siłowni spędziłem ponad dwadzieścia lat i cały czas jeszcze podnoszę ciężary i przygotowuję także pod tym względem, ale praca z kettlebellami to coś innego. To jest praca, która daje ogromną satysfakcję i która wciąga tak, że godzina pracy z kulami, które cały czas latają, nie wiadomo kiedy mija. Na siłowni trochę inaczej się pracuje, tam się skupia na tym, żeby ruchy były dokładne, po to, żeby mięśnie dobrze pracowały. W kulach skupiasz się nad ruchami - żeby kula dobrze leciała, żeby dobrze wprowadzała się w ruch.

Kim są Twoi podopieczni? Jest to np. jedna grupa wiekowa?

Jeżeli chodzi o wiek moich podopiecznych, to są to ludzie pomiędzy szesnastym a sześćdziesiątym piątym rokiem życia. Jeżeli chodzi o profesje to różne. Są tutaj: i prawnicy, i księgowi, i studenci, i nauczyciele. Są to ludzie, którzy nie chcą siłowni, tylko właśnie odnajdują się w kettlebellach. To jest dość specyficzne zajęcie, dość specyficzny ruch i dlatego spotykają się ludzie, którzy chcą tego samego. Tutaj nie spotykają się ludzie, którzy chcą przypakować bicki i się tym chwalić, tylko tu spotykają się ludzie, którzy lubią rwać, lubią podrzucać tą kulę i sprawia

im to frajdę. Jak sama zauważyłaś, nie ma tutaj luster, żeby wyeliminować akty narcyzmu. Może czasami to lustro by się przydało, żeby ten wzorec ruchowy poprawić, ale wtedy z drugiej strony, ja byłbym niepotrzebny, bo od tego właśnie jest trener, który czasami lepiej widzi niż podopieczny czuje. Może mu się wydawać, że robi to dobrze, ale po pewnym czasie wychodzi jednak, że coś zaczyna boleć i świadczy to o tym, że jemu się tylko tak wydawało, bo ma np. wadę kręgosłupa, której sam nie dostrzega, a trener ją zauważa i koryguje ustawienia, dba, żeby wszystko było dobrze. Jest to praca bardzo fajna, ale też odpowiedzialna i dająca satysfakcję. Bo jeżeli taka drobna dziewczyna, ważąca 60 kilogramów, rzuca dwudziestką czwórką przez pięć minut, to już jest wielki sukces.

Jesteś wielokrotnym mistrzem świata w wyciskaniu sztangi. Skąd u Ciebie zamiłowanie do sportów siłowych?

Ja jestem jeszcze z tego rocznika, kiedy dinozaury żyły na świecie, a one były bardzo duże i bardzo silne, więc żeby dogonić zająca, trzeba było być jak dinozaur <śmiech>. A tak poważnie, to ja zawsze lubiłem dźwigać, rywalizować i jakoś się w tym odnalazłem. Tak jak moi rówieśnicy, zaczęliśmy od sportów walki, potem każdy poszedł we własną stronę. Mój kierunek to była właśnie sztanga, w związku z tym, że mam wadę wrodzoną kręgosłupa, więc nie wszystko mogłem robić w różnych bojach podnoszenia ciężarów, dlatego zostałem przy wyciskaniu na ławeczce. I tak bawię się do dzisiaj. A to, że coś tam osiągnąłem to jest tylko wynik pracy. Cieszę się, że zdobyłem te tytuły, ale nawet gdybym ich nie miał to i tak bym to robił. Po prostu lubię dźwigać. Natomiast jeśli chodzi o kettle, to jest coś takiego jak periodyzacja treningu. Podnosząc takie ciężary rzędu trzystu kilogramów, struktura mięśniowa i kostna trochę się zmienia, człowiek się staje taki zastały. Można oczywiście podnosić przez cały rok ciężary i pracować nad tym, żeby ten progres był większy, ale trzeba pamiętać, że nasze ciało też się zużywa. Ja mam już trochę lat i od jakiegoś czasu stosowałem takie coś jak rozbięcie, mówiąc kolokwialnie, czyli też praca z ciężarami, ale trochę inna, bardziej dynamiczna. Robiłem różne rzeczy, aż pewnego razu dostałem w prezencie taką kulę, zacząłem czytać książkę i pomyślałem sobie: dlaczego by nie spróbować? Ja do wszystkiego podchodzę bardziej naukowo, więc ukończyłem różne certyfikacje dotyczące i Girevoy Sport i Hard Style. Moja idea była taka, żeby z kulkami zrobić wszystko, więc jeżeli ktoś przychodzi i mówi, że coś mu nie odpowiada, to dlaczego mam mu wmawiać na siłę, że to jest najlepsze i musi tak robić? Zawsze proponuję, że pokażę jakieś ćwiczenie w trochę inny sposób, trochę inaczej ustawimy ciało i będzie dobrze.

Uważasz się za dobrego trenera?

Jeżeli chodzi o efekty pracy moich podopiecznych, to tak. Nikogo nie zostawiam samemu sobie. Kiedy coś nie wychodzi to analizujemy to i staramy się nad tym pracować.

Co należy zrobić, żeby zapisać się na zajęcia?

Zajęcia są prowadzone grupowo, ale też i personalnie. Żeby zapisać się na trening, trzeba napisać do mnie, najlepiej na facebooku, przez prywatną wiadomość. Wtedy umówimy się, spotkamy i porozmawiamy o tym, czego ta osoba chce. To naprawdę jest dużo roboty, przez pierwszy miesiąc muszę dosłownie przy każdym klęczeć, żeby wyłapać wszystkie błędy i je eliminować. Ja chcę tutaj promować coś naprawdę dobrego. Osoby, z którymi tworzymy Akademię, to jest taka moja elita. I żeby się do niej dostać wystarczy jedna rzecz – trzeba naprawdę chcieć. Jeżeli ktoś chce zakochać się w kettlebellach, to zapraszam do naszej małej rodziny. Z pewnością będzie tutaj mile widziany.



ROZMAWIAŁA: ASIA GERLICH



fot. archiwum prywatne

DAJCIE MI INSTRUMENT, A JA WAM NA NIM ZAGRAM

Adrian Białek. Człowiek orkiestra. Dosłownie i w przenośni. Gra na kilku instrumentach, skończył wydział jazzu oraz Politechnikę. Niedawno otworzył własną szkołę muzyczną w której uczy młodych adeptów sztuki tego, co sam już potrafi. A potrafi wiele.

Dzisiaj chciałbym Cię namówić na powrót do przeszłości. Pochodzisz z Łambinowic.

To piękna wieś oddalona o niecałe 20 km od Nysy. Miejscowość historyczna. W czasie II wojny światowej mieścił się tutaj obóz jeniecki (Stalag VIII B), a po wojnie obóz pracy dla niemieckich żołnierzy oraz cywilów. To właśnie tutaj św. Maksymilian Maria Kolbe przebywał zanim trafił do Oświęcimia, gdzie oddał życie za współwięźnia. Jest tu tak spokojnie, można pojeździć na rowerze po ścieżkach rowerowych lub pozbiierać grzyby w okolicznych lasach (jesteśmy w końcu w Borach Niemodlińskich).

Skąd w Tobie pasja muzyki? Czy muzyczny talent odziedziczyłeś w genach?

Moja mama tańczyła w balecie. Tata od zawsze opowiadał mi o wojsku. Babcia żywiła duże zamiłowanie do śpiewu. Poza tym w rodzinie nikt nie był muzykiem. Była to moja świadoma decyzja, której póki co nie żałuję. Wahałem się nad tym czy zostać oficerem Wojska Polskiego - a więc zająć się zawodem, który daje mi stabilizację - czy zostać muzykiem i robić to, co kocham.

Ile miałeś lat, kiedy zauważyłeś, że muzyka jest Twoim całym światem? Kto pierwszy odkrył Ciebie i Twoją smykałkę muzyczną?

W podstawówce, kiedy mój kolega z klasy zagrał na gitarze, zapragnąłem być taki jak on, a później być jeszcze lepszym i grać na gitarze swoje ulubione melodie. Moim pierwszym nauczycielem był instruktor lokalnego domu kultury, następnie trafiłem do prywatnej szkoły muzycznej. Chciałem profesjonalnie podejść do tematu i namawiałem rodziców, aby zapisali mnie do Państwowej Szkoły Muzycznej w Nysie, do której koniec końców się dostałem i uczyłem aż do 2012 roku. Wtedy zacząłem się interesować nieco inną muzyką niż klasyczna - szeroko rozumianą rozrywką i jazzem.

Grasz na gitarze klasycznej, akustycznej, elektrycznej, basowej i kontrabasie. Czy to wynika z Twojego głodu umiejętności czy po prostu jesteś tak zdolny?

W szkole muzycznej uczyłem się grać na gitarze, w prywatnej na elektrycznej, w państwowej na klasycznej. Kiedy opuściłem mury szkół zderzyłem się ze smutną rzeczywistością: nie było dla mnie pracy. Stężenie gitarzystów było tak duże, że kolejny wcale nie był potrzebny.

Wówczas jedna z koleżanek zaproponowała mi granie w zespole, ale jako gitarzysta basowy. Nie miałem wówczas takiego instrumentu, więc na pożyczonym sprzęcie ćwiczyłem materiał i zostałem etatowym basistą zespołu Jednym Słowem, z którym zdobyłem wiele nagród: m. in. Grand Prix Przeglądu Utworów z Charakterem podczas Międzynarodowego Festiwalu Piosenki „KROPKA” w Głuchołazach, Wrocławskiego Przeglądu Kultury Studenckiej „W górach jest wszystko co kocham” we Wrocławiu i wiele innych nagród. Od tego czasu byłem częściej basistą niż gitarzystą. Zaczęłem rozwijać się w tym kierunku i trafiłem na studia, gdzie również nauczyłem się grać na kontrabasie.

Wiem, że jesteś bardzo aktywnym człowiekiem, dużo podróżujesz, ale dziś to Opole jest „centrum” Twojego życia.

Mieszkam w Opolu na stałe od przeszło 5 lat. Lubię to miasto. Ma ono swój urok. Mieszkiałem przez jakiś czas w Nysie, Wrocławiu, trochę w Zielonej Górze, ale póki co nie zamierzam się przeprowadzać.

Czy Opole, które nie jest przecież wielką aglomeracją jak np. Warszawa czy Londyn jest wystarczające dla rozwoju i spełniania Twoich muzycznych marzeń?

W Opolu dużo się dzieje. Oczywiście większe miasto to większe możliwości, jednak ja odnajduję się tutaj. Czasem oczywiście wyjeżdżam z Opola, by zagrać koncert, bo nie można się zamykać w jednym miejscu. Myślę, że Opole to idealne miejsce dla mojej Akademii, jakby uszyte na miarę.

Musisz pić dużo kawy, żeby mieć siłę robić tyle rzeczy jednocześnie.

Kawa to podstawowy napój każdego studenta. Ja po pewnym czasie przeczuciłem się na zbawienne działanie yerba mate, którą siorbię do dziś. Poniekąd kawa to jednak używka, ale naturalny paragwajski specyfik daje o wiele więcej pozytywnych aspektów niż kawa. Jednak zdarza mi się czasem dla smaku wypić filiżankę dobrze zaparzonej młodej czarnej bez mleka i cukru. Kilka dni temu obroniłem pracę magisterską na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Opolskiego (studia wałem pedagogikę medialną z edukacją artystyczną). Badałem wpływ motywacji na rozwój muzyczny uczniów szkół muzycznych I stopnia. W lipcu br. obroniłem licencjat z jazzu i muzyki estradowej na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego. Po drodze zdążyłem jeszcze ukończyć inżynierię bezpieczeństwa na Politechnice Opolskiej. Zarzuciłem jednak tą drogę i wybrałem muzykę.

Kończenie 3 kierunków jest „asekuracją” spokoju w życiu tzn. świadomości tego, że zawsze możesz się przebrnąć, czy raczej każdy z tych wyborów był odpowiedzią na Twoje zainteresowania?

Wiele osób stereotypowo uważa, że muzyk to nie zawód, to hobby i hulaszcy tryb życia. Muzyk to zawód jak każdy inny: jak lekarz, prawnik, inżynier. Kształcimy się wiele lat, poświęcamy czas na ćwiczenie i doskonalenie swoich umiejętności, by dawać ludziom muzykę, wykonując ją w wielu różnych miejscach, uczyć innych. Na początku chciałem się zabezpieczyć swoimi studiami na politechnice, jednak po przeprowadzeniu pewnego okresu w zawodzie, stwierdziłem, że to nie dla mnie. Czuję się jak w ciasnym kapeluszu. Nie widzę siebie w pracy, która mnie nie motywuje. Oczywiście w sytuacji kryzysowej jestem w stanie podjąć każdą pracę, jednak chciałbym tworzyć muzykę i uczyć innych jak tę muzykę tworzyć.

Co dały Ci studia na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego?

Studia na kierunku jazz i muzyka estradowa w klasie kontrabas i gitary basowej dały mi całkiem inne patrzenie na muzykę. Jazz przez wielu uważany jest za muzykę intelektualną. Od wykonujących ją muzyków wymaga ogromnej wiedzy i warsztatu instrumentalnego, które starałem się zdobyć przez okres studiów. Wielu wspomniałych wykładowców, którzy dzielili się ze mną swoją wiedzą odcisnęli w moim muzycznym sercu jazzowe piętno. Nauczyli jak postrzegać szeroko rozumianą muzykę improwizowaną, wyrażać siebie, tworzyć przekaz płynący prosto z serca. Studia to przede wszystkim kontakty. Dziś w moim telefonie

jest mnóstwo numerów do muzyków z najwyższej półki, do których zawsze mogę zadzwonić ws. muzycznej współpracy.

Jesteś facetem- instytucją: sam grasz na kilku instrumentach, występujesz na festiwalach, widziałem m. in. że partnerowałaś Maryli Rodowicz na KFFP w Opolu, otworzyłeś niedawno Akademię Gitary i Gitary Basowej Białek Music, miejsce gdzie można szlifować swoje talenty muzyczne.

Akademia Gitary i Gitary Basowej Białek Music pozwala młodym adeptom sztuki nauczyć się od podstaw grać na gitarze lub gitarze basowej, zaś tym którzy już grają pozwala rozwinąć skrzydła, zmienić myślenie, poszerzyć umiejętności. Nauka odbywa się wg mojego autorskiego programu dopasowanego do indywidualnych potrzeb ucznia. Wśród zajęć indywidualnych znajdują się także zajęcia zespołowe oraz teoretyczne. Oczywiście nie ma ograniczeń wiekowych. W tej chwili mój najmłodszy uczeń ma 6, a najstarszy prawie 40 lat. Akademia znajduje się przy ul. Telesfora 2 w Opolu (niedaleko Wydziału Teologicznego UO). W tym miejscu znajduje się również niewielkie studio, w którym można zarejestrować swoje dokonania, by móc podzielić się nimi w sieci. Moi uczniowie koncertują w różnych miejscach Opola. Ostatnio dzięki uprzejmości Dyrekcji mieliśmy możliwość zagrać w Miejskiej Bibliotece Publicznej. Wszelkie informacje odnośnie nauki można znaleźć na mojej stronie www.adrianbialek.com, na którą serdecznie zapraszam.

Skąd pomysł stworzenia Akademii?

Akademia Gitary i Gitary Basowej Białek Music to moja idea. Od zawsze chciałem stworzyć miejsce, gdzie można w kompleksowy sposób nauczyć się grać na instrumencie, uwrażliwić na muzykę, sztukę, zdobyć podstawy tworzenia muzyki, homerecordingu, pracy scenicznej. W Akademii prowadzone są również warsztaty muzyczne z różnych dziedzin oscylujących wokół muzyki. Od grudnia powstanie klasa wokalu prowadzona przez Roxanę Dąbrowską. Jest to poniekąd mój pomysł na życie, na siebie. Lubię uczyć, przekazywać wiedzę w sprawdzony sposób. Przez lata opracowywałem program nauki podparty badaniami i własnymi przeżyciami, gdyż miałem okazję przejść przez kilka szczebli kształcenia muzycznego zarówno publicznego jak i prywatnego. Kształtowanie młodego muzyka to bardzo niebezpieczne i odpowiedzialne zadanie. Można w łatwy sposób przekreślić komuś karierę, dlatego potrzeba wiedzy i umiejętności by wydobyć potencjał ucznia, by ten mógł kiedyś przerosnąć mistrza.

Czy każdy może uczyć się w Akademii bez względu na wiek?

Każdy, nie ma żadnych ograniczeń wiekowych, wystarczy dobre chęci i dużo samozaparcia.

Jaki teraz jest czas, etap w Twoim życiu? Wydaje się, że spełniasz siebie i swoje marzenia, nie boisz się walczyć o swoje sprawy?

Aktualnie skończyłem studia i skupiam się na rozwoju swojej Akademii. Można powiedzieć, że na mojej liście marzeń odznaczyłem dwie pozycje. Staram się jednak nie spoczywać na laurach tylko poszerzać swoją wiedzę i umiejętności, grać z różnymi ludźmi. Biorę udział w kilku projektach, mam również swój projekt Białek Collective. Myślę, że o marzenia trzeba walczyć, nie odpuszczać. Zaryzykowałem, zrezygnowałem ze stabilnej pracy w zawodzie inżyniera i postawiłem na muzykę oraz krzewienie kultury. Mam głowę otwartą na wiele nowych i świeżych pomysłów. O pewnych już wkrótce się przekonacie.

Co mógłbyś doradzić wszystkim tym, którzy nie do końca są sobie pewni i nie bardzo wiedzą jak zawalczyć o swoje marzenia?

To trudne, ale nie da się być szczęśliwym robiąc coś co nas nie kręci. Spełnianie swoich marzeń pozwala nam podtrzymywać tę iskierkę, którą mamy w sercu, ta która sprawia, że nam „się chce” robić dobre rzeczy. To tak naprawdę jest dla mnie życie. Takie małe przyjemności. Bez nich jesteśmy bezbarwni i wypaleni. Warto ryzykować, by spełniać marzenia.

ROZMAWIĄŁ: JAKUB SŁABY



RADZIECKI CMENTARZ NA OBRZEŻACH KAMPUSU

Radzieckie cmentarze i pomniki stanowią trwały element w polskiej historycznej przestrzeni publicznej. Otaczane przez kilkadziesiąt lat kultem, po przemianach politycznych pozostały zapomniane. Opolszczyzna, szczególnie dotknięta w 1945 r., w czasie ofensywy radzieckiej usiana jest pomnikami „wdzięczności” i nekropoliami. Jeden z przykładów stanowi radziecki cmentarz usytuowany na obrzeżach naszego uniwersyteckiego kampusu, pomiędzy akademikami.

Dyskusja nad sensem dalszego istnienia takich miejsc jest ciągle żywa. Jest też potrzebna i w pełni uzasadniona. W toku dyskursu poruszana jest tematyka tzw. „pomników wdzięczności”, poświęconych żołnierzom Armii Czerwonej, których zasadność istnienia, z oczywistych względów poddawana jest negacji. Poruszana jest również kwestia cmentarzy żołnierzy Armii Czerwonej, które stanowią temat nieco trudniejszy. Pomnik zawsze można zniszczyć, lub, co często zdarza się w toku przemian politycznych, bohatera na cokole zastąpić wystarczająco nowym, bardziej aktualnym. Kwestia cmentarzy jest nieco trudniejsza, zmieniają się rządy, ustroje, granice państw, a cmentarze pozostają.

Na opolskim cmentarzu spoczywają żołnierze I Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej, którzy polegali na początku 1945 r. w walkach o Opolno (Opole do zakończenia II Wojny Światowej znajdowało się w granicach państwa niemieckiego). Początkowo zmarłych chowano w zbiorowych mogiłach, w kilku miejscach miasta. Dopiero po przejęciu władzy przez polską administrację, na cmentarz wyznaczono teren przy ulicy Katowickiej, znajdujący się wówczas poza centrum miasta. Najstarsze pochówki pochodzą z 1945, najmłodsze z 1947, można więc domniemywać, że było to również miejsce spoczynku tych żołnierzy Armii Czerwonej (od 1946 r. Armii Radzieckiej), którzy „pomagali” tworzącej się na tych terenach polskiej władzy administracyjnej. Na cmentarzu znajduje się 166 nagrobków, w których pochowanych jest łącznie 487 osób, spośród nich tylko 99 zostało zidentyfikowanych. Początkowo

pochówki znaczone były drewnianą konstrukcją. W 1947 r. postawiono kamienne nagrobki oraz w centralnym miejscu cmentarza usytuowano pomnik, na którym widnieje napis: Bohaterom Armii Radzieckiej poległym w walce o wolność i demokrację ludową, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Opolu - 1947 r. Słowa wyryte na pomniku brzmią jak gorzka ironia, zwłaszcza w odniesieniu do terenów Śląska, na których „wyzwalanie” przez Armię Czerwoną oznaczało brutalne traktowanie ludności cywilnej, niszczenie mienia, rabowanie, demontaż i wywózkę do ZSRR licznych maszyn i zakładów przemysłowych.

Nie ulega wątpliwości, że godny pochówek należy się każdemu, niezależnie od ideologii, w imię której walczył. Zdziwić może jedynie fakt, że w 1954 r. zdecydowano się na usytuowanie budynków Wyższej Szkoły Pedagogicznej w tak niewielkiej odległości od nekropolii. Z pewnością nie przewidziano wówczas, że Wyższa Szkoła Pedagogiczna, a od 1994 r. Uniwersytet Opolski rozrośnie się jako placówka edukacyjna i tym samym będzie potrzebowała więcej przestrzeni dla swoich studentów.

Dziś cmentarz wtopiony w lukę pomiędzy akademikami, pozostaje niemal zapomniany, latem zarasta trawą, zimą pokryty jest śniegiem. Również sami studenci, mieszkańcy pobliskich akademików, mają do niego stosunek zupełnie obojętny.

TEKST: MONIKA SOBCZAK



“PRZESKOCZYĆ POPRZECZKĘ”

NOWY ZARZĄD AZS UO

Od tego roku sportem na naszej uczelni będzie kierować Dawid Matyszczak, który na stanowisku prezesa Akademickiego Związku Sportowego UO zastąpił Annę Chojnowską. Szefem został wybrany przez większość delegatów sekcji sportowych, choć obyło się bez aklamacji. O celach na sportowe wydarzenia w roku akademickim, wizji funkcjonowania zarządu oraz przekaskiwaniu poprzeczki mówi nam Dawid Matyszczak w wywiadzie przeprowadzonym kilka minut po oficjalnym objęciu sterów.

Jak się czujesz w nowej roli, świeżo po wyborach?

Z jednej strony się cieszę z tego, że udało mi się zwyciężyć w wyborach, a z drugiej wiem, że czeka nas ogrom pracy i osoby, które będą ze mną w zarządzie, z którymi będę współpracować, na pewno będą musiały stawiać na wysokości zadania, tak samo jak i ja, aby nasz związek funkcjonował tak dobrze, jak do tej pory.

Co jest Twoim celem na ten najbliższy czas, początek Twojej kadencji?

Cel jest jeden na ten rok akademicki. Są to półfinały Akademickich Mistrzostw Polski w Badmintonie, które będziemy tutaj u siebie w Opolu organizować. Na to stawiamy szczególną uwagę, tym bardziej, że poprzedni zarząd naprawdę długo walczył o to, aby móc gościć imprezę z cyklu Akademickich Mistrzostw Polski w Opolu. To będzie wydarzenie, dzięki któremu mamy szansę się wykazać i razem z pozostałymi członkami zarządu będziemy chcieli przeprowadzić tę imprezę jak najlepiej.

A takie cele długoterminowe, na cały okres urzędowania?

Na ten moment nie mam takich celów sprecyzowanych. Wszystko wyjdzie w praniu, ciężko jest mi cokolwiek powiedzieć w pierwszym dniu urzędowania. Co będzie, to zobaczymy.

Jak oceniasz dotychczasowe funkcjonowanie AZS-u i działania poprzedniego zarządu?

Byłem w tej organizacji przez rok. Wyglądało to dobrze, nawet bardzo dobrze. Dlatego mam ciężkie zadanie, żeby to wszystko podtrzymać, żeby to funkcjonowało tak, jak do tej pory. No i nasza w tym głowa, żeby wszystko przebiegało sprawnie, tak jak dotychczas.

Czyli poprzedni zarząd, poprzedni prezes wysoko postawili poprzeczkę? Czy Twoim celem jest ją przeskoczyć?

Nie tyle może, co przeskoczyć, ale chociażby dorównać do tego, co tutaj było. Zadanie jest ciężkie, ale uważam, że mam odpowiednich ludzi, z którymi możemy tę poprzeczkę przeskoczyć, na pewno jej nie stracić.

Jakie wydarzenia chcecie dalej organizować jako uczelniany związek sportowy na Uniwersytecie Opolskim?

To przede wszystkim będzie Akademicka Liga Mistrzów. To wydarzenie jest naszym priorytetem w przekroju całego roku akademickiego. Będziemy się dalej starali, żeby w przyszłym roku, przyszłej edycji jeszcze bardziej urozmaicić te rozgrywki, żeby więcej drużyn przystąpiło do nich. Zobaczymy oczywiście jak bardzo uda nam się zainteresować uczestników, ale mam nadzieję, że będzie coraz więcej chętnych do udziału w tej rywalizacji. To jest nasza impreza numer jeden, sztandarowe wydarzenie na uczelni, które organizujemy. Wiadomo, że Akademickich Mistrzostw Polski nie przyznajemy sami sobie, a przyznaje to tzw. „góra” AZS-u.

A czy masz jakieś autorskie pomysły na coś nowego, jakieś wydarzenie sportowe, którego jeszcze nie było?

Osobiście takich pomysłów nie mam, ale będę mieć na tyle kreatywne osoby w zarządzie, które będą przedstawiali swoje pomysły. Jestem otwarty na propozycje i jeżeli ktoś zaproponuje coś takiego, przedstawi pomysł na imprezę sportową, której organizacji moglibyśmy się podjąć, to z pewnością ja będę jak najbardziej za.

Jak zapatrujesz się natomiast na kwestie współpracy? Czy to z drużynami, jak wcześniej z drużyną siatkarek ECO Uni Opole czy innymi instytucjami?

Szkoda, że z nazwy siatkarek Uniwersytetu Opolskiego uciekła ta nazwa „AZS”. Jest to dla nas pewien minus jako związek, oczywiście nie dla samej uczelni. Ale my się nie załamujemy, będziemy cały czas patrzeć na siatkarki jako zespół akademicki naszej uczelni, więc nasz pogląd na to się nie zmienia. Czy jakiś zespół dojdzie do tego grona ścisłej współpracy z nami, jeszcze nie wiadomo. Będziemy dalej pilnie przyglądać się sekcji badmintona, która święci największe sukcesy w ostatnich latach. Nie chcę niczego przewidywać na ten moment, ja dopiero poznam tajniki pracy jako prezes AZS-u i nauczę się dokładnie wszystkiego.



ANA CAFE ZAPRASZA!

Niewielka kawiarnia w centrum miasta. Zzewnątrz wygląda niepozornie, lecz uwagę przyciągają grafiki na elewacji. Wnętrze ciepłe i przyjemne. Nowoczesne. Choć nazywa się kawiarenką nieruchomości, zaprasza wszystkich, nie tylko ludzi z branży biznesu. Również mile widziani są tutaj studenci, na których czeka wiele korzystnych okazji.

ANA CAFE, jak na kawiarnię przystało, w swojej ofercie ma pyszne kawy. Pewnie kojarzycie, jak w amerykańskich filmach zaparza się kawę. Do odpowiedniego zbiornika w ekspresie barista wlewa zimną wodę, a w sitku umieszcza odmierzoną ilość zmielonej kawy. Ekspres podgrzewa wodę, przelewa ją przez kawę, która skapuje prosto do podstawionego termosu. Zazwyczaj gorąca woda podgrzewa też podstawkę, na której stoi termos z kawą, dzięki czemu napar utrzymuje odpowiednią temperaturę. I właśnie takiej kawy można napić się w ANA CAFE! Mała kawa przelewowa kosztuje 4 zł, a duża 6 zł. Nie można nie skorzystać z takiej okazji!

Oprócz czarnego napoju bogów, bez którego większość studentów nie wyobraża sobie poranka, możemy tutaj zjeść pożywną owsiankę, pyszne tosty i panini. Zza lady uśmiechają się do nas domowe wypieki i słodkości, które zrobione są wyłącznie z naturalnych składników. Jest

Wam zimno i macie ochotę na coś ciepłego? Nie ma problemu. Czekają na Was rozgrzewające zupy i wytrawne przekąski.

Jednak lokal to nie tylko jedzenie i picie. ANA CAFE oferuje również dwie sale, jedną na osiem osób, drugą na ok. dwadzieścia, w których można zorganizować spotkania kół naukowych, urodziny lub po prostu przyjść ze znajomymi i spędzić miło czas.

Na studentów i uczniów czekają również zniżki. Za każdą dwójkę w dzienniku czy indeksie, dostajemy dwa procent zniżki, za trójkę trzy procent, za czwórkę cztery procent, a za piątkę pięć procent rabatu. Jaka ocena, taki rabat.

Lokal jest czynny siedem dni w tygodniu, zawsze od 7.00 do 21.00.

A już niebawem na naszym facebooku będzie konkurs, w którym nagrodą będą kupony na darmową kawę w ANA CAFE! Wyczekujcie i bawcie się z nami! :)

TEKST: ASIA GERLICH

PONOWNIE STANĄ DO WALKI Z NOWOTWORAMI KRWI!



Samorząd Studencki Uniwersytetu Opolskiego we współpracy z Fundacją DKMS, Uniwersytetem Opolskim oraz Państwową Medyczną Wyższą Szkołą Zawodową w Opolu organizuje akcję rejestracji potencjalnych Dawców szpiku i komórek macierzystych. Wydarzenie zaplanowano na pierwszy tydzień grudnia. Zarejestrować będzie się można aż w siedmiu różnych miejscach!

W Polsce co godzinę ktoś kolejny dowiadyuje się, że ma białaczkę, chorują małe dzieci, młodzież, dorośli. Ta choroba nie wybiera. Pomóc jednak może każdy z nas. Dołączenie do grona potencjalnych Dawców jest proste, wystarczy przyjść na akcję, zabrać ze sobą dokument z numerem PESEL, być ogólnie zdrowym oraz świadomym rejestracji. Na miejscu

wolontariusze przeprowadzają wstępny wywiad medyczny, później nastąpi wypełnienie formularza, a na samym końcu zostanie pobierany wymaz z wewnętrznej strony policzka.

MIEJSCA I GODZINY REJESTRACJI:

5.12 (wtorek)
 - Collegium Pedagogicum (hol, parter) - ul. Ojca Józefa Czaplaka 2A, Opole, 9.00 – 15.00
 - Collegium Iuridicum (hol, parter) - ul. Katowicka 87, Opole, 11.00 – 16.00
 - Budynek Główny (ul. Oleska 48, Opole), 10.00 – 17.00

6.12 (środa)
 - Studenckie Centrum Kultury (hol, parter) - ul. Katowicka 95, Opole, 9.00 – 14.00
 - Instytut Psychologii (hol, parter) - ul.

Plac Staszica 1, Opole, 11.00 – 16.00
 - Budynek Główny (hol, parter) - ul. Oleska 48, Opole, 10.00 – 17.00

7.12 (czwartek)
 - Studenckie Centrum Kultury (hol, parter) - ul. Katowicka 95, Opole, 9.00 – 14.00
 - Collegium Civitas (hol, parter) - ul. Katowicka 89, Opole, 11.00 – 16.00
 - Państwowa Medyczna Wyższa Szkoła Zawodowa w Opolu (Hol Sali Wykładowej 045) - ul. Katowicka 68, Opole, 10.00 – 17.00
 - Budynek Główny (hol, parter) - ul. Oleska 48, Opole, 10.00 – 17.00

Więcej informacji na temat Fundacji DKMS oraz samej rejestracji można znaleźć na stronie dkms.pl/faq.

TEKST: DAWID MACHECKI

DLACZEGO LUBIMY SIĘ BAĆ?

Halloween to święto budzące wiele kontrowersji, zwłaszcza w Polsce, gdzie stało się popularne stosunkowo niedawno. Przez kilka lat stopniowo przejmowaliśmy amerykańskie zwyczaje, biorąc udział w imprezach tematycznych, ozdabiając dom pod koniec października lub urządzając nocny seans horrorów. Jedni biorą udział w niewinnych przebierankach, inni gardzą zamorską tradycyjną, rozpatrując ją w kategoriach świętokradztwa. Halloween już za nami, jednak niezależnie od podejścia, trzeba przyznać, że jesteśmy społeczeństwem, które lubi się bać.

Mroczny klimat, groteska i straszne zwroty akcji to motywy często wykorzystywane w kinematografii. Nie bez przyczyny powstają wciąż nowe, coraz straszniejsze horrory, często na podstawie nie mniej strasznych książek. Niektóre historie powstały na kanwie prawdziwych wydarzeń, co uświadamia nam, że świat nie jest wcale aż tak przewidywalny, jak się wydaje. Niewinny z pozoru napis, często na początku lub końcu filmu, głoszący „Historia oparta na faktach”, potrafi wystraszyć bardziej niż piętnaście nieodebranych połączeń od mamy. Dobrą robotę robi także muzyka - odpowiednio dobrane efekty dźwiękowe nie raz sprawiły, że oprócz zakrycia oczu, musiałam także zatkać uszy. Wypada więc zapytać: po co oglądać horrory, skoro w najbardziej kluczowych momentach, siedzimy pod kołdrą z dłońmi na uszach, blokując nasze zmysły przed mrożącymi krew w żyłach doznaniem? Też czasami się zastanawiam, a mimo to, powracam do tych filmów, które wywarły na mnie największe wrażenie. Producenci dobrze wiedzą, że kochamy się bać, zwłaszcza w okresie halloweenowym, a że większość produkcji przychodzi do nas zza oceanu, także i my możemy poczuć prawdziwą atmosferę kontrowersyjnego święta.

Dobry horror to taki, który pozostawia nas w strachu nawet na kilka dni. Osobiście uważam, że filmy grozy stanowią jeden z najciekawszych



gatunków filmowych, niedocenionych ze względu na ukazujące się cyklicznie prawdziwe gnioły w stylu domku w lesie, grupy nastolatków i zombie wyskakujących spod ziemi. Może to zabrzmieć śmiesznie, ale przyjemnie jest czasami trochę się wystraszyć, a horrory dają nam taką możliwość.

TEKST: WIKTORIA KUŹNIAK

HURTOWY HORROR

Ostatni dzień składania wniosków o przyznanie stypendium rektora. Kolejka do dziekanatów jak w dniu promocji karpia w sklepie wielkopowierzchniowym. Karpia patrzącego śmierci w oczy, tak samo jak część oczekujących. Pętla nieotrzymania pieniędzy z powodu niedostarczenia wymaganych dokumentów zaciska się na szyi coraz bardziej.

„Uznali ci wszystko?“, „Ile masz punktów?“, „Jaka średnia?“ można usłyszeć głosy niosące się po mrocznym korytarzu. W końcu jest! Powoli otwierają się drzwi do raju. Widać poruszenie. Dreszcz podekscytowania falą przeszedł przez wszystkich obecnych. Tłumy niecierpliwie wyczekujących petentów próbują zlokalizować pierwszego szczęśliwca, który dostąpi zaszczytu złożenia dokumentów i zjedzenia drugiego śniadania, wychylając głowy jak surykutki ze znanej serii dokumentalnej.

Wszędzie istotna staje się ilość. Jest to niewątpliwie pewien wskaźnik osiągnięć, ale czy aby na pewno wymierny? Z pewnością zanikła istota jakości. Wynika to z różnych przyczyn, przede wszystkim obiektywne liczbowe miary pozwalają na pozbycie się pierwiastka ludzkiego w procedurze podejmowania decyzji. Ale sięga to też dalej. Nawet pracownicy naukowcy są zmuszani do badań batem systemu punktowego. Kiedy mają mieć czas na robienie dobrych badań, jeżeli w ich interesie jest przeprowadzenie wielu? Powstały nawet czasopisma (punk-

towane), które publikują artykuły bez robienia większych problemów, oczywiście za opłatą.

„Chcesz kupić kostkę masła? Kup dziesięć, a jedenastą dostaniesz gratis.“, „Chcesz kupić telewizor? Kup 4 to wyjdzie taniej.“, „Podoba nam się twój produkt, ile potrafisz zrobić takich samych w ciągu tygodnia?“. Chyba nie do końca chcemy, aby tak wyglądał rynek, a z pewnością część z tych zdań, oczywiście może nie tak zhiperbolizowanych, słyszał każdy z nas. Liczy się ilość. Wymaga się od nas raczej spełniania pewnych minimalnych standardów przy wysokiej częstotliwości wytwórstwa. Tego samego wymagamy my, choć może to raczej promocje próbują nam to wmówić. Na każdym kroku spotykamy kult hurtu. Człowieka powoli zaczyna opisywać głównie liczba. Zbieramy punkty na stacji benzynowej, na uczelni, w sklepie, na testach, czy na rekrutacji do pracy. W Stanach Zjednoczonych swego czasu testy psychologiczne w dużym stopniu determinowały całą drogę nauczania młodych obywateli tego kraju. Pewne kontrowersje, które były z tym związane sprawiły jednak, że zaprzestano, lub chociaż zminimalizowano, występowanie tego proceduru. Jak widać, podobne zjawisko staje się jednak czymś normalnym i nie bardzo wiadomo co z tym zrobić, by zmienić stan rzeczy.

TEKST: JAKUB FILIPKOWSKI

WOJNA – BÓL I CIERPIENIE

Patrząc na produkcje filmowe ostatnich lat, można powiedzieć, że reżyserzy coraz śmieiej podążają w kierunku produkcji o tematyce wojennej. Z czego to może wynikać? Może z popularności tego gatunku? A może po prostu chcą być na czasie?

Jedną z tego typu produkcji jest biograficzno-wojenny film w reżyserii Clinta Eastwooda pt: „Snajper”, który opowiadają historię członka elitarniej jednostki Navy SEALs – Chrisa Kyle’ego, który był uczestnikiem wojny w Iraku. Jako snajper wyrósł na prawdziwą „legendę”, głównie dzięki skutecznej obronie towarzyszy broni, ale także poprzez liczbę zestrzeleń. Statystyki mówią same za siebie – 255 zestrzeleń, co stanowi oficjalny rekord sił zbrojnych USA.

Dla jednych film jest zwykłą propagandą, pokazującą jak ciężko Amerykanom na wojnach, w którą sami się angażują dla innych to wyjątkowa biografia, obraz prawdziwego patrioty oddanego ojczyźnie.

Prosta, a zarazem szalenie ciekawa fabuła, wysoki poziom kreacji aktorskich, w szczególności Bradleya Coopera, który idealnie wczuł się w rolę o czym może świadczyć chociażby nominacja do Oscara, ale nie tylko...

Clint Eastwood wykonał genialną robotę chociażby poprzez operowanie kamerą. W szczególności warto zwrócić uwagę na ukazanie emocji bohaterów wykorzystując zbliżenia na twarz, ale także poprzez różnorodność planów filmowych zaczynając od planu totalnego a koń-



cząc na bliskim, czym udowodnił, że w tego typu produkcjach mało kto może się z nim mierzyć.

Moim zdaniem „Snajper” jest godny polecenia każdemu miłośnikowi mocnych, wojennych wrażeń. Produkcja sama w sobie proponuje nam niebanalną opowieść wartą obejrzenia.

Serdecznie polecam :)

TEKST: MICHAŁ PERLIK

MĘŻCZYŹNI WOLĄ BLONDYNKI

Marilyn Monroe. Największa seksbomba lat 50. i 60. w Ameryce. Ikona kultury XX i XXI wieku cały czas jest obecna w świadomości kolejnych pokoleń. Aktorka filmów, które obrosły w legendę, jak sama ich bohaterka. Wielka osobowość Hollywood, która odeszła zbyt wcześnie w dramatycznych okolicznościach. Czy było możliwe, żeby jakimkolwiek reżyserowi udało się nagrać film biograficzny ukazujący życie tak skomplikowanej postaci? I czy jest jakaś aktorka, która by temu podołała?

Okazuje się, że tak. Simor Curtis, reżyser filmu „Mój tydzień z Marilyn” postanowił tak zbudować fabułę filmu, aby na podstawie tytułowego tygodnia z życia Monroe pokazać wszystkie jej dylematy, nastroje, słabości i sukcesy. Monroe spotykamy latem 1956 roku na planie filmu „Księżę i aktoreczka”. Gwiazda przylatuje do Londynu, gdzie ma kręcić obraz, ale jest to również dla niej i jej męża czas miesiąca miodowego. W tym samym czasie do produkcji filmu zostaje zatrudniony Clark (w tej roli fantastyczny Eddie Redmayne), młody asystent, który marzy o karierze filmowej. Clark, pracując przy produkcji, staje się jednocześnie osobistym powiernikiem Monroe, będącym świadkiem wszystkich jej nastrojów i chwil słabości. Spędza z kobietą wiele czasu, pokazując jej uroki Anglii.

Właściwie najważniejszą rzeczą w filmie, o której dyskutowano w branży, była obsada głównej aktorki, która wcieli się Marilyn Monroe. Reżyser z grona kandydatek wybrał Michelle Williams i chyba trafił w dziesiątkę. Choć pojawiają się opinie, że Michelle nie ma tego samego błysku w oku czy zniewalającego uśmiechu, jaki miała Marilyn, to warto sobie jednak zadać pytanie czy jest na świecie ktokolwiek, kto dorównałby Monroe? Reżyser doborom różnych scen filmu, przeprowadził nas przez analizę psychologiczną Marilyn Monroe. Pokazał jej kruchość i delikatność, nieumiejętność radzenia sobie z wieloma rzeczami, niepokoje czy lęki jakie ją ścigały, a jednocześnie ukazał kobietę wamp, piekielnie inteligentną, pewną siebie seksbombę potrafiącą pstryknięciem palców zapanować nad tłumem, który tak ją wielbi. Monroe bała się etykiety pięknej blondynki, której głównym atutem jest zniewalająca



uroda, a jednocześnie kochała rolę, którą odgrywała. Uwielbiała swoją sławę i jednocześnie była świadoma, że to właśnie ta sława niszczy wiele spraw w jej życiu, jak i ją samą.

Meryl Streep, zapytana w jednym z wywiadów o Marilyn Monroe odpowiedziała: „Marilyn Monroe była wielką gwiazdą, a ja jestem tylko aktorką.” I tu tkwi szkopał – Marilyn będąca bardzo sprawną technicznie aktorką, za życia jeszcze stała się symbolem swoich czasów, ponieważ aktorstwo nie było tylko jej zawodem, lecz stylem życia. Ona nigdy nie schodziła ze sceny, nawet kiedy gasło czerwone światelko w kamerze. Monroe sama powiedziała kiedyś słynne zdanie: „Sława jest jak kawior - bardzo przyjemnie jeść go od czasu do czasu, ale na co dzień jest nie do zniesienia.”

Film jest pięknym hołdem dla tej wielkiej ikony, która odeszła od nas zbyt wcześnie.

TEKST: JAKUB SŁABY



źródło: Teatr Kochanowskiego w Opolu

KTO ZGASI ŚWIATŁO?

Byliście kiedyś na sztuce, podczas której ze sceny padło wytłumaczenie, o czym jest?

Nie przestanie zaskakiwać nasz opolski teatr. Zaskakiwać oczywiście pozytywnie. Bo można brać udział w niesamowitym przedstawieniu, które rozgrywane jest w aż trzech językach. Bo „Ostatni gasi światło” w reżyserii Norberta Rakowskiego to spektakl, który powinien dotknąć wielu odbiorców.

Dotknąć, bo jest włożeniem kija w mrowisko. W nasze życie. Po raz kolejny teatr wyciąga na wierzch brudy. Obnaża słabości i uzależnienia. A robi to w sposób prosty i bardzo dosłowny. Reżyser pokazuje, że nie potrzeba wyszukanych symboli lub alegorii, żeby dotknąć sedna. Wystarczy postawić widza przed sytuacjami, z jakimi spotyka się na co dzień. Pokazać mu je i poprzez to uświadomić, jak teatr jest bliski naszemu teatralnemu życiu.

No tak, gramy. Gramy przed innymi, ale najbardziej gramy przed sobą. Tłumaczymy sobie nasze okrutne postępowanie, usprawiedliwiamy się. Spektakl składa się z kilku wątków. W jednym z nich reżyser pokazał, jak sprawnie i umiejętnie można przerzucać odpowiedzialność. Elegancka para młodych zakochanych w sobie ludzi naprawdę istnieje tylko w mediach społecznościowych. Żyjąc na pokaz, darzy się tylko negatywnymi emocjami przeplatany z zapewnieniami o miłości. Tych dwoje ludzi to obraz pokolenia, które traci umiejętności kochania, wyrażania swoich emocji i radzenia sobie z nimi. To obraz idealnej maski i pustego wnętrza. To smutny obraz braku zrozumienia i wołania o wsparcie, którego bohaterowie nie potrafią sobie dać.

Spektakl jest częściowo grany w języku migowym. Jeden z bohaterów jest głuchoniemy. Ale chyba mieliśmy tutaj dostrzec nie częściową niepełnosprawność chłopaka, lecz fakt, jak wielu rzeczy my nie słyszymy.

Po raz kolejny obrazowo pokazane życie. Ile jest przypadków, gdy wolimy nie słyszeć wołania o pomoc, gdy udajemy zajętych swoimi sprawami, wypierając ze świadomości odpowiedzialność, jaką powinniśmy ponieść za nasze postępowanie. Trzeba doceniać te czytelne alegorie.

Ach, muzyka! Tak bardzo kontrastująca z wydarzeniami nam przedstawianymi! Sielankowa, nastrojowa, trafiająca w sedno. Uosabia najbardziej skrajne emocje i aktywnie bierze udział w spektaklu, na równi z aktorami.

Widz jest postawiony przed trudnym zadaniem. Śledzi sztukę, snuje refleksje, odnosi wydarzenia ze sceny do swojego życia i jeszcze jest postawiony pod przysłowiowym gradobiciem pytań, na które odpowiedzi nikt nie oczekuje. Płyną ze sceny wyznania, wołania o pomoc i refleksje. I nieświadomie jesteśmy wciągani do gry, z której doskonale zdajemy sobie sprawę. Nie możemy się odezwać i gryzie nas fakt, że bohaterowie nie chcą poznać naszego zdania.

Ze sceny płynie wyraźna konkluzja - „To jest spektakl o odpowiedzialności”. Za drugie życie, za emocje swoje i bliskich, za podjęte decyzje, obojętnie czy były dobre czy złe, za siebie. I jest to spektakl o samotności wśród ludzi, o braku zrozumienia, o cichym i przerażającym krzyku ludzi zagubionych. Jest ostrzeżeniem dla nas wszystkich, aby być szczerym – nie obłudnym, aby kochać – nie udawać, aby pomagać – nie ranić. I aby móc zawsze z pełną odpowiedzialnością być ostatnim, który ma prawo zgasić światło.

TEKST: KINGA OPOLONY



TAKI WIELKI MUZYK NA SKALE WSZECHŚWIATOWA, A W GŁOŁU MOŻE DOBACIĄĆ JAKO PUCYBUT, CHEKAWIE, CZY W TAKIEJ STYLÓWIE WPRÓŚCIBY DO DO CINY... FOT. MAREK WIENCH

ZMYŚLNY KONTRATAK GŁOWY

Jest 21:37. Jadę autobusem przez smog temu miastu znany każdej zimy i poranka. Przecinam artylerie, a na głowie zapomniałem kapelusza.

Dorożka nie zatrzymuje się na przystanku koło mojej uczelni, dlatego zeskakuję chyżo i dalej idę pieszo. Do wykładów mam jeszcze chwilę, dlatego idę okrężną drogą, ażeby zobaczyć, jak postępy budowy nowego teatru idą. Robotnicy w czapkach, a jakże, roboczych, z pełną werwą swojej pracy raczej nie wykonują. Ale jest dopiero wczesny poranek i ziąb też obiektywnie średni. A ludzi trzeba umieć zrozumieć. My za to w studenckich czapkach, naszych emblematkach, które mówią ulicy „Idą ci, co są intelektualną elitą przyszłego narodu”. Narodu jednak podzielonego już obecnie, bo... „inni” siedzą w specjalnych ławkach, osobno. Jak nie jesteś czyściutkim Polakiem, to jesteś inny. Musisz być konkret patriotą, musisz być wierzący w konkretny sposób i wierzyć w konkretnym schemacie, musisz jeść konkrety i musisz rzucać konkretnymi (oczywiście wyświechtanymi i populistycznymi), a nie słowami. Słowa są słabsze niż kostka brukowa.

Dostają takim brukiem nad lewym okiem, skroń się otwiera, a oczy zalewa ciemność krwi.

Gdy wstaję nagle, uświadamiam sobie, że to jakby z obowiązku. Bo Gaudeamus grany, a to i wypada na stojąco. Jest rześko, wszyscy świeży i wypoczęci. Uśmiechów więcej niż chmur na złoto-jesiennym niebie. Uśmiech ten zdrowy. Zdrowszy. Bo opieki więcej, lekarskiej i nie tylko. Ci lekarze siedzą w kapeluszach, choć głównie już bez.

Wracam z tym bagażem inauguracyjnym jak ten świeżak. Czekam na przystanku. Mija mnie siatkarka. Atakująca. Łatwo rozpoznać, nawet jak się nie wie. Atakuje chodnik swoimi stopami, co skutkuje, że biegnie, idąc. Bardzo wysoka – sięga mi aż do czwartego zębra. A ja kojarzę, że to spotkanie nie było przypadkowe. Masz jedno nowe powiadomienie. Mecz siatkarek, środa, daj znać znajomym i/lub pasażerom linii nr 14 czy weźmiesz udział. A jak ja mam nie wziąć udziału, jak oprócz tego, że gra drużyna mojej Alma Mater, to jeszcze inaugurują tym samym nowy obiekt. Znaczący, ja nie wiem do końca czy on w takim sensie nie został już rozdzielony, ale mnie to nie obchodzi. W moim sensie będzie to inauguracja tego nowego teatru. Choć dziś się na to mówi już nie teatr, a po prostu hala. Hala widowiskowo-sportowa. To brzmi mi bardziej surowo niż teatr. Ale nie będę się kłócił. Jeszcze dostanę za to karę od sędziego. Nie chcę osłabić drużyny. W końcu gram tam na tej samej

pozycji, co Baczyński w innej drużynie. Tamta to była warszawska. Tam to był inny świat.

Teraz już nie pójdzie nikt do teatru, tylko do hali. I nie przyjdzie w płaszczu, w kapeluszu. Tam już nie będzie nikt machać kapeluszem. Tam prędzej poproszą o hasło do wifi, choć i teraz to przeżytek jak pucybut na rynku. Przechodzę też obok jego stoiska. Tam jego dziad był, tam jego ojciec, teraz on. Wszyscy patrzyli na buty, a on wgapiony w ekran, i to swój jeszcze. No i za to mu niby płacą? Że przegląda zdjęcia ewentualnych tylko klientów. Zdjęcia, na których buty praktycznie się nie pojawiają. Tak samo jak kapelusze.

Zwiertzona okazja jest, bo rzucili w pewnym dyskoncie kapelusze – rzucają się wszyscy: falangiści, renciści, bepiści, kasjerki, maklerki, sarmaci, biedni i bogaci, prawnicy i trochę też lewicy. Wszyscy moi i twoi rodacy, jak na tacy. Wśród nich żywi, większość nie żyje. Nawet jak dalej mają tętno, to co to za życie? Łóżko ze szwedzkich desek, amerykańskie buły, indyjski napar ze starej herbaty. Większość marzy, by być w tym momencie nawalonym. Garstce jest to dane. Inni muszą czekać na „okazje”. Kolega okazję znalazł – mimo że bez kapelusza – bo na stacji Łódź Kaliska wysiada i woła bez wstydu za kimś. Wraca z rektyfikowaną dostawą. Przeznaczona na rzadkie wydarzenia. Na pogrzeby również, przezorny zawsze ubezpieczony, choć nikt planować tego nie chce. Nie, są wyjątki. Są wyjątki, którzy nawet chwalą się swoją rychłą, nadchodzącą, piękną wręcz śmiercią jak ten pucybut ze swoim ekranikiem, jak on chwali się w nim, że jadł przedwczoraj naleśniki. To jest trywialne, ale ludzie i tak przyjdą, bo na stypie można się nawalić. Grzebią akurat starego faceta o parszywym nazwisku „marzenie o uniwersyteckiej stołówce”. Smutno jest, bo wszyscy głodni. Część na diecie, bo nie żyje. Tylko Przybora i Niemen bardziej skorzy do pozdrowień.

Chcę im odpowiedzieć machnięciem...orientuję się, że nie mam czym, zgubiłem swój kapelusz. Pewnie został w szafie wspomnień.

Nie. Przypomniałem sobie, że je wyrzuciłem. Dlatego nic nie pamiętam. Dobrze chociaż, że dorobiłem się powiadomień. Jedno z nich mówi mi, że mam urodziny. Zapraszam.

TEKST: MAREK WIENCH